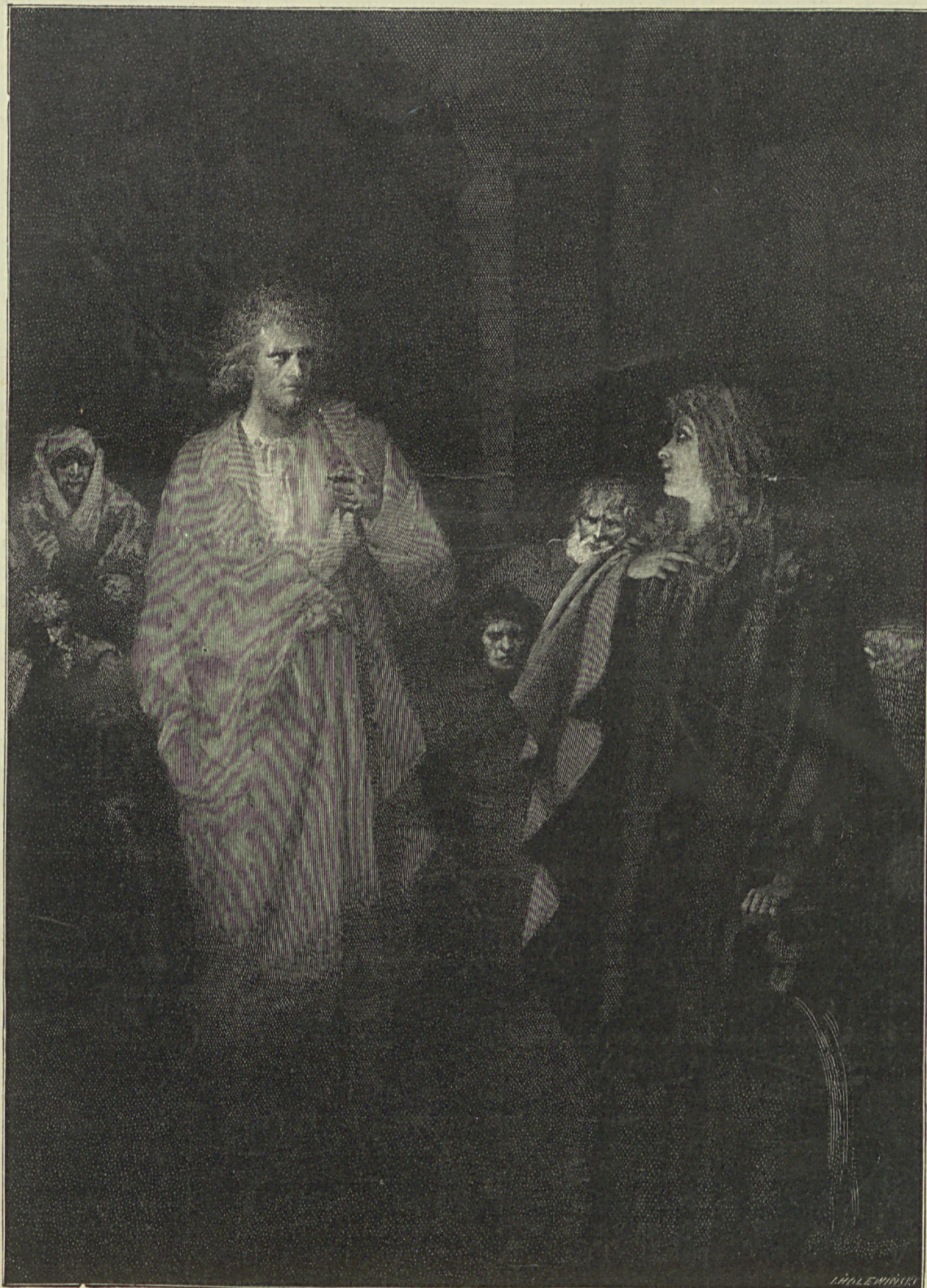


TYGODNIK ILLUSTROWANY



RYT. J. HOLEWIŃSKI

Czesław B. Jankowski: Widmo.

Pokazał ręką na serce,
Lecz nic nie mówi paste ce.

(„Dziady” Ad. Mickieicza)

6661

rejszej, skrópowanie indywidualności, stłumienie myśli humanitarnej i wyklęcie tej „przewrotowej...“ jakże się nazywa?... „emancypacji.“ A czegoż w Krakowie nie uważają za emancypację! Prof. Kasperek, słysząc w ustach kobiety nazwiska Taine'a, Milla, Marxa, lub Spencera, drży jakby Europę ujrzał na wulkanie, a ponieważ mrowia takiego miłym gościem nazwać niepodobna, więc strażnik „ładu i porządku“ krakowskiego egzorcyzmuje na gwałt „fortecę emancypacji:“ kursy Baranieckiego. Czy jednak to „apage salanas“ maruderów stulecia odniesie skutek pożądany, to według najświeższych informacji wydaje się nieco wątpliwem. Pod wodzą prof. Bujwida i prof. Rottera zorganizowano już kontragitację, i niebawem otrzyma rada miejska Krakowa obszernie umotywowaną, w tysiące podpisów zaopatrzoną petycję o zaniechanie wszelkie Baranieckiego przeobrażeń projektowanych, które stałyby w jaskrawym przeciwieństwie do intencji szlachetnego założyciela.

—*

(Est.) Tydzień jeszcze, jak zapowiadają telegramy z Paryża, przeciągnie się proces Zoli. Przez wszystkie więc dni siedm rano i wieczorem dzienniki karmi nas będą kilkunastospaltowymi porcjami niestrawnego francuskiego pasztetu.

Miła zaiste perspektywa!

Już dziś Dreyfuss—Esterhazy kością ci w gardle stoja. Gdzie się ruszysz, nie mówią o niczem innem, tylko o Zoli, Laborim i Picurircie — Pan za kim trzyma?

Przekonany, że idzie tu o przyszłe wybory radców Towarzystwa Kredytowego Ziemińskiego, lub członków komitetu Zachęty sztuk pięknych—namyślałem się nad odpowiedzią—gdy w tem pytanie: — „Dreyfuss, czy Esterhazy?“ — przerywa mi wątek refleksyi.

I co nas obchodzić może ta dzisiejsza zgangrenowana, zdemoralizowana Francya? Skąd u nas to wielkie zainteresowanie się francuskim błotem politycznym, tak brudnym i wstrętnym, aż zimno się robi. Br... sama myśl zwraca się ku wodzie i mydłu.

Ba, mydło i woda w dziele cywilizacyjnem nieposlednią odgrywają rolę. Ktoś nawet radził za miarę cywilizacji i kultury uważać głównie ilość zużytego przez dane społeczeństwo mydła. Ha! to cieszymy się, i my bowiem od soboty zeszłej zużywać będziemy mydła więcej niż dotychczas.

Długo, bo od lat pięciu, oczekiwany zakład kąpieli ludowych stanął dzięki inicjatywie i ofiarności osob prywatnych. Zapoczątkowanie tej pozytywnej instytucji wyszło od dwóch znanych na polu lekarskiem powag, dr. Ignacego Baranowskiego i Ludwika Natanson; pomoc materialna—ze szkatuły p. Stanisława Rotwanda.

Pięć lat ciągnęły się zabiegi około bezplacowego uzyskania placu na wybudowanie odpowiedniego gmachu—aż wreszcie w tych dniach otwarto pierwszy zakład kąpielowy. Oplata za kąpiel jest możliwie niska, dostępna dla najuboższych. W ciągu tygodnia korzystać może z kąpeli około 2,500 osób, licząc po dwieście kilkadziesiąt osób dziennie.

W sprawie uzdrowotnienia miasta to krok ważny niezmiernie, choć skromny. Pamiętajmy jednak, że nie odrzuca Kraków zbudowano. Za pierwszym zakładem powstanie i drugi, tembardziej, że fundusz na nie przeznaczony nawet w polowie nie jest wyczerpany. Maluzko, a w murach Warszawy nie powinniśmy spotykać już więcej zamorusianych twarzy, brudu i niechlujstwa.

—*

(Stan.)—Jest, jest, zatwierdzona!

— Kto, co?—zapytasz, czytelniku, zdziwiony może tym zapalem, z jakim wykrzyknąłem owo „jest.“

— Politechnika—odpowiem.—Tak jest, z Petersburga w tych dniach właśnie nadeszła wia-



Gniewasz się?...

domość, iż projekt utworzenia instytutu politechnicznego w Warszawie nie napotkał poważnych trudności na drodze urzędowości i w zasadzie uzyskał aprobatę władz.

Wiadomość to pierwszorzędnej wagi dla naszego kraju. Nie dość bowiem, że odtąd nasza młodzież kształcić się będzie w kraju, nie potrzebując szukać wiedzy wśród obcych, często wrogo nam usposobionych, jak to się dzieje obecnie np. w Berlinie; nie dość, że miasto pozyska wyższy zakład naukowy; — utworzenie politechniki w kraju naszym stanie się podwaliną naszego przemysłu, czysto krajowego. Pozostający dotychczas przeważnie w rękach obcych ster przemysłu w naszym kraju przejdzie w ręce odpowiednio wykwalifikowanych krajowców, na których brak tak uskarżali się dotąd przemysłowcy nasi.

— Jak tu brać Polaków—inżynierów, techników,—powiadali—kiedy ich niem? Co który wymknie się za granicę, to już do kraju nie wróci. Tam znajduje i uznanie i pracę zyskowną.

Może to i prawda smutna, a może tylko wymówka. Z chwilą jednak utworzenia politechniki warszawskiej nawet podobne wymówki ustać muszą. Przed tłumem młodzieży, garnącej się dotąd do urzędów, otworzy się nowe pole pracy, dotąd zamknięte i nieznanę; otworzy się możliwość działalności samostnej, rzec można: twórczej, rozwinięcia bogatych zdolności, których chyba nikt na świecie odmówić nam nie może.

„Politechnika warszawska!“—jakże to brzmi dziwnie, a słodko zarazem!

—*

Powstawały wówczas „Towarzystwa wstrzeżnościwości“, których członkowie „odprzysięgali się od wódki“—co zresztą, nawiasem mówiąc, nie przeszkadzało im upijać się „harakiem“ i tak zwanem „winem“, fabrykowanym bez winogron. Powstawały też przeróżne, praktyczne i niepraktyczne projekty zakładów, w którychby przedstawiciele „klas niższych“ zgromadzać się mogli na uczciwą zabawę.

W zbiorze swych *Varsovianów* posiadam rękopis z r. 1853 p. t. „Projekt Resursy Rzemieślniczej w Warszawie.“ Autorem tego projektu jest ksiądz Józef Stecki, wikaryusz (podówczas) parafii S-go Andrzeja.

Projekt ten, szczegółowo opracowany, nabiera w tej chwili aktualności i zasługuje na pilną uwagę. Odkładając na inną chwilę dokładniejszą o nim wiadomość—choć zasługuje on, co prawda, na wydrukowanie w całości—przytaczam kilka zdań i argumentów z przedmowy. Należy im się uwaga.

„Resursa,— pisze szanowny, a nie wiem czy żyjący jeszcze kapłan—jak z jednej strony powściągać będzie zbytki i nadużycia, tak z drugiej wpłynie na ukształcenie rozumu i serca, ureguluje życie rodzinne, podniesie fabryki i przemysł.“

W jakiej formie objawia się te korzyści materialne i moralne?

Oto w resursie owej „mąż, przybywszy z żoną i dziećmi, zabawi się za też same pieniądze z rodziną, które sam zwykł w bawaryach i szynkach przepijać.“ Tam również „czeladnik, zamiast hulać z nierządnicami po bezwstydnych salach, żydowskich szynkach z muzyką i t. p., wytańczy się darmo z przyzwoitemi i uczciwymi wychowanymi niewiastami — z których wybrać sobie może pracowitą, gospodarną i bogobojną żonę.“ Rodzice, posiadający córki na wydaniu, będą mogli czynić lepszy dla nich wybór pomiędzy starającymi się, których przymioty lub wady wyraźniej się objawiają. Młodzież, obcuja ze starszymi, „oduczy się lekceważenia cnoty i skromności, a przywyknie do grzeczności, szacunku dla starszych, słowem: do życia porządnego.“

W resursie prostaczki uczyć się będą od oświecenijszych, a biedni zabawią się pospolu z bogatszymi, weale się nie rujnując. Będzie tam czytelnia, dostarczająca pism periodycznych i dzieł pożytecznych, „traktujących o chemii, mechanice, naczyniu, materiałach, rzemiosłach, fabrykach, handlu i różnych na drodze postępu odkryciach.“

Na programie rozrywek będą się znajdowały odczyty religijno-moralne, oraz i zakres nauk przyrodzonych, sztuk pięknych, higieny, prawa, ekonomii, statystyki, handlu, administracji i t. p. Treść odczytów dostarczy przedmiotu do rozmów pomiędzy uczestnikami, którzy nawykłą w ten sposób do samodzielnego myślenia i krytyki.

W resursie wreszcie „zawiazywać się mogą spółki, obmyślać środki tańszego zakupu i łatwiejszego *en gros* sprowadzania materiałów i machin z za granicę; tu powstaną banki pożyczkowe, wspólnie magazyny, tak zwane *Genereballe*; tu na koniec, przy wspólnej naradzie, przy oszczędności w wydatkach resursy, powstać może fundusz, powiększony dobrowolnymi darami, na wysyłanie co rok kilku czeladzi za granicę w celu gruntownego poznania swej sztuki, a co większa: na założenie dokładnej szkoły rzemieślniczej i gabinetu modeli...“

Wydobynam z ukrycia projekt, który przez lat czterdzieści leżał martwy, niby ziarno nieposiane, i sądzę, że chwila obecna jak najbardziej sprzyja temu, aby piękne marzenie księdza Steckiego stało się rzeczywistością.



Mniejsza o to!

(F-y). „Goniec urzędowy“ przypominał niedawno dobrym obywatelom, ile dobrego działać mogą w rozpoczętej świeżo kampanii przeciw pijactwu. „W walce tej—czytamy w owym piśmie—powinni wziąć udział wszyscy lopsi przedstawiciele społeczeństwa, wyjaśniając ludowi szkodliwość nadużywania trunków, dbając o leczenie pijaków nałogowych, urządzając odczyty ludowe, wydając odpowiednie książeczki, otwierając czytelnie, herbaciarnie, tanie kuchnie i inne zakłady, w których ludność będzie mogła szukać rozrywki i odpoczynku po pracy...“

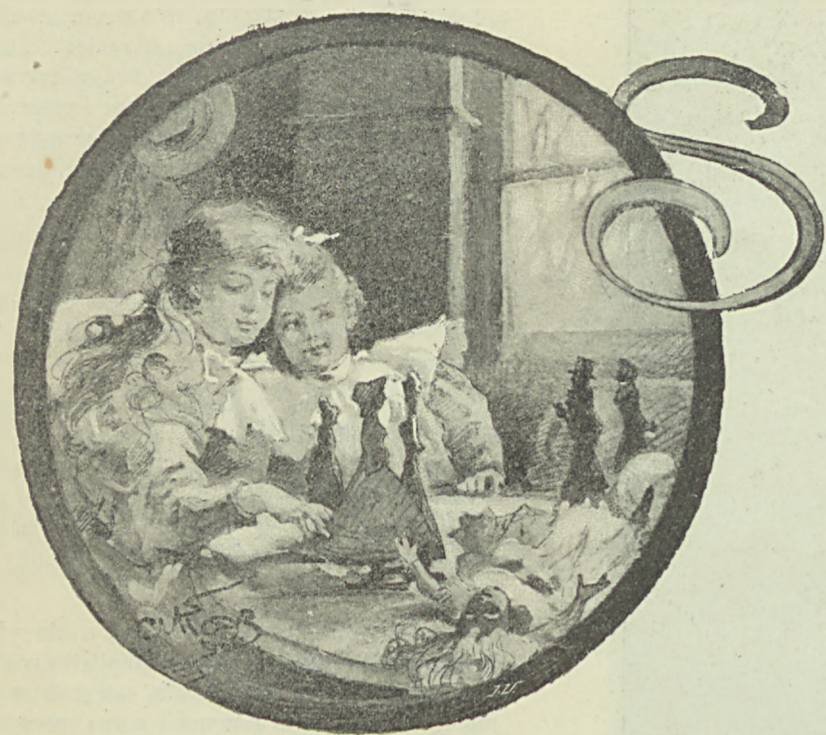
Wyszczególniamy z tej długiej listy pozycję ostatnią, aby zaznaczyć, że dwie są głównie formy, w jakich podawana być może ludowi rozrywka szlachetna. Pierwszą z nich: teatr ludowy; drugą: ludowo resursy czyli gospody.

Około urzędzenia teatru ludzie krzątają się energicznie, krążyła nawet po mieście wiadomość, że jest on już rzeczą postanowioną i bliską urzędzistwieniam. Natomiast, o gospodach zupełnie cicho...

A jednak to drugie ważniejsze jest jeszcze od pierwszego.

Wpływ teatru, jak wogóle sztuki, należy do wpływów pośrednich, z warunkowanych wielu okolicznościami ubocznymi, jak np. talentem autorów i wykonawców, oraz wrażliwością widzów. Wpływ gospody, podobnie jak wpływ życia i rzeczywistości, jest bezpośredni.

Zrozumiano to już bardzo dawno, gdy jeszcze nie istniała nawet idea „Monopolu“, ale gdy już zaznaczano waleczyć—bardziej w teorii, niż w praktyce—z ideą karczem i szynków.



II.



ie pojedziemy dziś konno?

— Nie.

— O!... dlaczego?...

Siostrzyczka staje przed fotelami, na którym siedzi jej siostra.

— O! Jadziu, choć do kraty!... — prosi, składając opalone ręce.

Lecz Jadzia opiera głowę na dloni, głowę uczesaną dziś bardzo starannie, z zafrzowaną grzywką nad zachmurzonym czołem.

— Nie, Wandziu!... nie mam ochoty!... głowa mnie boli!

— Już pięć dni nie jeździłyśmy. Konie się zastoją... trzeba je przeprowadzić...

— Przeprowadź je sama!

— Nie... bez ciebie nie mogę, nie umiem!

I siostrzyczka tuli głowę do kolan Jadzi, która gładzi z roz-targnieniem jej rozczochrane włosy i patrzy wciąż na drogę, która białą wstęgą ściele się i wiję pomiędzy łanami zboża.

Bo z tego „piąterka“ na którym mieszkają panienki razem z boną Wandzi, jest widok nielada. Rozlane całe morze złoistych kłosów, ciemna zielen lasu, drobne dachy chat. Wszystko widać, jak na dloni. A wczesnym rankiem, gdy dziewczęta w białinie z łożek wyskakują, i różowymi piętami dudniąc, ku oknom biegną, a okna te naścieżają roztworzą, — to z tego morza kłosów, to z tej zieleni lasów, to z tego stepu błękitu płynie taka woń rozkoszna świeżą ro-są skapaną trawy, iż panienki dosyć nalykać się jej nie mogą, a pierś swobodnie pracuje, odycha, rozszerza się w rozkosznym upojeniu.

Na tem „piąterku“ są trzy małe pokoiki.

Dwa białe, z firankami nad łożkami, z obrazkiem Matki Boskiej Częstochowskiej w fałdach muślinu. Tylko jeden — ten większy — ma tualetkę, biureczko, szeszlązek obity tanim kretonikiem w różo-we różę, a ten drugi, mniejszy — jest cały zagracony masą świstków, skrawków papieru, wtkami leszczyny, pudełkami farb, stosami kamuszczków, garnuszkami, w których moknie trochę lnu i kilka ga-łazek kaliny. Na oknie ustawiony cały rząd figurek tekturowych, lalek wycinanych z arkuszy kupowanych w mieście, ustrojonych w krynoliny i pamele, lub szafrowe fraki ze złoconymi guzikami. Lalki te sterczą wśród zwiędłych gałązek, powtykanych w kupki piasku i mających wyobrażać aleje parku.

Na ziemi, koło dwóch małych fotelików i stołu, za którym mo-kną w szklance pendzle i walają się ołówki, leży uzda i trzęła z czer-wonej tasiemki, naszytej dzwonkami.

Lecz i w pokoju „starszej siostry“ widać na oknie kilka lalek, siedzących na meblach, pracowicie wycinanych i lepionych z kart. Na tualetce leżą nożyczki, a za niezaczepiony as kierowy. Fłaszeczka z gumą arabską, przewrócona, sączy strumyk błyszczącego plynu. Kilka kropli spadło już na dywan, lecz Jadzia, siedząca obok

SIOSTRZYCZKA

Szkic Gabryeli Zapolskiej,

ilustracje Antoniego Kamińskiego.

tualetki, zdaje się nie widzieć, nie spostrzegać nic z tego, co ją otacza.

Patrzy wciąż na drogę, na drogę, co się wiję ścieżką białą wśród złotych mas zboża. Po drodze ciągną teraz woły z pustym wozem. Parobek nawołuje je głośno, wóz skrzypi, aż go na pięterku słycać. Jadzia wzdycha cicho. Zakłada na piersi ręce, odziane w długie rękawiczki, i znów patrzy na drogę — patrzy, aż oczy jej mgłą zacho-dzą.

U kolan jej tuli się siostrzyczka.

Kto jej przemienił tak nagle jej Jadzie? Kto odebrał humor „starszej“ — i dlaczego Jadzia nie galopuje już po alejach ogrodowych na rumaku z lipowej gałęzi, ustrojonym w harasówkę i brzę-czące dzwonki? Dlaczego Jadzia nie wycina już z arkuszy lalek, nie podlepia im podstawek, nie ubiera w tekturowe suknie, nie ustawia na oknie i nie śpiewa kadryla, kiedy ona, „siostrzyczka“, usi-łuje manewrować lalkami, naśladowując figury kontredansu? Dlaczego pilki, wolanty, serso, małe, świeżo narodzone koty, obwarzanecki, moczenie nóg w stawie i wiele innych rozkoszy, które dawniej wy-buchy śmiechu z piersi „starszej“ wywoływały — od dwóch tygodni działają rozweselająco jedynie na „siostrzyczkę“, i to warunkowo?

Och! bo siostrzyczka nie umie, nie może się bawić bez swej starszej siostry. Jakkolwiek jest między nimi różnica lat dziesięciu, jednakże gusta ich, upodobania, zabawy są jednakowe. Cały dom napęniają śmiechem i szelestem swych sukni, wiecznie razem — je-dna dopełnienie drugiej, „siostrzyczka“ ucepiąca u ręki, ramienia, fałd sukni „starszej“ — odziane jednakowo, z włosami rozrzuconymi ka-skadą popielato-złotą na ramiona, z aureolą olbrzymich kapeluszków, po nad gładkimi jak marmur czołami. Jadzia, Wandzia, dwie panienki, uśmiechnięte, wpadające w życie z szumem nieopatrnej młodości, owiane lila muślinami, ze sznurkami świeżej kaliny naokoło szyi, z koleżkami złoto-różowych wiśni, parami ucepiionych na maluch-nych uszkach. I stopy lalek tekturowych, których losy były snem fantastycznym, wysnuwanym z umysłów tych dwojga dzieci, panowie Powidłańscy we frakach błękitnych, miniaturowe liliputy, wysmiewa-ne i wyszydane przez obie panienki...

Mężczyźni bowiem nie cieszą się sympatją na owem „piąterku“, i oprócz „papy“, który nie jest mężczyzną — lecz „papą“ — młodzieź okoliczna, i wogóle cała pleć męska nie doznaje wiele szacunku i wy-różnień przychylnych. W tragediach i dramatach, które odgrywane są przez tekturowe lalki, panowie Powidłańscy są wiecznie ośmieszani i wyszydzani. Są to tchórze, niulki, egoiści, samochwalcy, słowem: ród Papkinów przerobiony na prozę.

Kobiety za to cieszą się wielkim uznaniem i zdobywają się często na czyny bohaterskie. Lecz od dwóch tygodni Jadzia machi-nalnie ustawia lalki i sentymentalnie nuci kadryla. Powoli zapre-staje nawet wyskakiwać rankiem wczesnym z łożka i dudnić bosemi piętami po woskowanej posadzce. Natomiast, staje często w oknie wieczorami i patrzy na gwiazdy. Raz nawet, bona, panna Mina, roz-gniewała się na dobre za tak późne otwieranie okna po nocy.

— Siostrzyczka się zaziębi! — mówiła Niemka.

Jadzia zamknęła okno, lecz przez szyby patrzyła na niebo. Sio-strzyczka, układając do snu lalki, patrzyła na nią z pod grzywy. Na co ona patrzyła starsza? co ona tam w górze widzi? jeśli coś zaba-wnego, dlaczego jej, Wandzi, nie powie, nie podzieli się z nią tem, co ją zajmuje?

Lecz oto Jadzia teraz już i dniami całymi siedzi przy oknie swe-go pokoju i patrzy uparcie na drogę, chociaż słońce aż oślepia, tak jasno nad polami świeci. Napróżno Wandzia namawia ją do „konnej jazdy.“

— Głowa mnie boli! — odpowiada zachmurzona panienka.

— Bawmy się w lalki! — proponuje Wandzia.

Lecz Jadzia kręci głowę.

— Nie!... nie!... nie dziś, jutro!...

Lecz Wandzia biegnie do swego pokoju i za chwilę wraca z arkuszem tektury.

— Patrz! — mówi ucieszona: — o! tu!... ten w czekoladowym garniturze, zupełnie podobny do tego Powidłańskiego, który był tu dwa tygodnie temu... pamiętasz... wtedy gdy zламаłaś swego konia!

Jadzia nie odpowiada, tylko twarz jej oblewa się ponsem.

— Nie pamiętasz? — szczebiocze dalej siostrzyczka: — miał przecież na sobie niebieski pudermantel i siedział w powozie zaprzę-żonym w cztery bułanki... Pamiętasz?...

Opiera się łokciami na kolanach Jadzi i natrętnie patrzy jej w oczy.

— Pamiętam!... — wykrztusza wreszcie panna Jadwiga.

— Otóż patrz tylko na tego w cynamonowym garniturze: dwie krople wody! Ten sam długi nos, wąsiska i żółta twarz... Jak Bożię kocham!...

Lecz Jadzia odsuwa ją gniewnie od siebie.

— Nie wiedzieć co pleciesz — mówi szybko, rzucając na ziemię arkusz z lalkami; — pan Siennicki jest bardzo przystojny mężczyzna, i proszę cię, ażebyś go nigdy Powidłańskim nie nazywała...

Urywa na chwilę, poczem dodaje pośpiesznie:

— I nie mów nigdy: „Jak Bożię kocham!...“ Wiesz, że to grzech!... i że Bóg się za to gniewa.

Siostrzyczka stoi przerażona.

Po raz pierwszy w życiu „starsza“ tak ostro, tak su-rowo odezwała się do niej, po raz pierwszy odepchnęła jej ręce od swych kolan.

Twarzyczka dziecka zbladła i poczerwieniała. Zaciśnęła silnie pięści, aby nie płakać i zaczęła lykać ślinę. Lecz lzy jej napływały do szafirowych oczu i jak sznurek pereł po-toczyły się po policzkach.

„Starsza“ widzi te lzy, widzi, i nagle i jej źrenice po-krywa wilgotna mgła. Od kilkumastu dni dławi się łzami, serce ją boli, miejsca sobie znaleźć nie może. Nie chciała płakać, trzymała się. Lecz ta mała płacze, lzy są sympatyczne (związczą, gdy są tuż pod powieką).

Jadzia wyciąga ręce, i Wandzia wpada jej w objęcia.

Całują się tedy i płaczą, płaczą i całują, loki włosów popielato-złotych moczą się łzami. I to „starsza“ tuli się zboląla i zdenerwowana do drobnej szyjki siostrzyczki, która szczęśliwa z pogodzenia, wśród łkania pyta:

— Jadzia mnie kocha?

— Kocha!

— I... nie gniewa się?

— Nie, moje złoto!

— A będzie się ze mną bawiła?

— Będzie!...

Lzy ulgę przynoszą.

Obie panienki ocierają oczy. Płacz ich nie oszpecił, noski się troszkę zaczerwieniły. Wandzia starannie chowa po za szeszląg arkusz tektury z Powidłańskim-Siennickim, przyczyną niezgody, i czempredziej ustawia w szeregu inne lalki, stroi je, odświeża pomięte, bibulane suknie.

Jadzia zbliża się do okna.

I ona bierze w rękę jedną z lalek, umocowuje ją na podstawce, poczem wyrzuca za okno kilka zdechłych much, walających się w piasku.

Wandzia uradowana, rozpromieniona, ze śladami łez w dołkach policzków, rozpoczyna dramat.

— Oto pani Sagajto, wdowa po panu Sagajle, a oto jej cztery córki. Jedna jest leniwa, druga łakoma, trzecia zazdrosna, a czwarta bardzo dobra. Pani Sagajto ma je-chać do Żytomierza i bierze z sobą trzy córki, te zle...

— Nie!... nie tak... — mówi Jadzia, klękając przy oknie. — Niech pani Sagajto nie będzie wdową. Trzeba, żeby miała męża.

Wandzia się krzywi i ręce rozkłada.

— Skąd go wezmę? — pyta: — mamy samych młodych Powidłańskich, chyba że się jakiemu wąsy i brodę atramentem przypra-wi... co, Jadziu?

Lecz Jadzia nie słucha...

Podniosła się z kłęczek, cała w płomieniach i duszą całą, siłą szafirowych oczu płynie na drogę.

Daleko, daleko, widać tuman kurzu.

Tuman pędzi szybko i z po za osłon piasku widać już dwa przednie bułane konie, dalej dwa drugie, i powozik, i stangreta, lo-kaja, odzianych w płócienne kitle, a w powoziku niewyraźna sylwetka, ukryta w fałdach błękitnego pudermantlu.

Wandzia podnosi główkę i patrzy, skąd turkot pochodzi. Po-znaje bułanki, powozik, Powidłańskiego...

Cheć zawołać, roześmiać się, ale przypomina sobie wybuch gnie-wu Jadzi...

Milczy więc, nie śmie spojrzeć na siostrę, i przestępując z nogi na nogę, gryzie usta i mruży oczy.

Lecz Jadzia już jest przy tualetce. Chuchając na chusteczkę, przykłada ją do oczu, chcąc zetrzeć z nich ślady łez. Szybko upo-rządkowuje rozfrzowaną grzywkę, obciąża bluzkę, odświeża kokardę, zakończającą pasek.

Oczy jej błyszczą, usta się uśmiechają. Powozik zaturkotął już pod gankiem, Jadzia chwytła irchą obciążoną deszczką i szlifuje nią różowe, jak blade korale, paznokcie.



...Siłą szafirowych oczu płynie na drogę.



Z SALONU A. KRYWULTA.

Juliusz Kossak: Elekcya Jana Kazimierza.

obaj zapalni i gwałtowni w objawach przyjaźni, mogli wpaść na myśl usłużenia przyjacielowi w nagrodę za autorstwo, może chcieli nim się nawet pochlubić; zresztą taki namiętny i „najidealniejszy“ z podwikarzy, Zan, wszędzie i zawsze uważał za swój obowiązek torować drogę przerożnym „promionkom.“

Z drugiej znów strony sentymentalna, wypieszczona, a więc i kapryśna Maryla mogła żądać poznania z autorem, z poetą, szukając w tem nowych wrażeń dla siebie.



Altana Mickiewicza w ogrodzie Tuhanowickim.

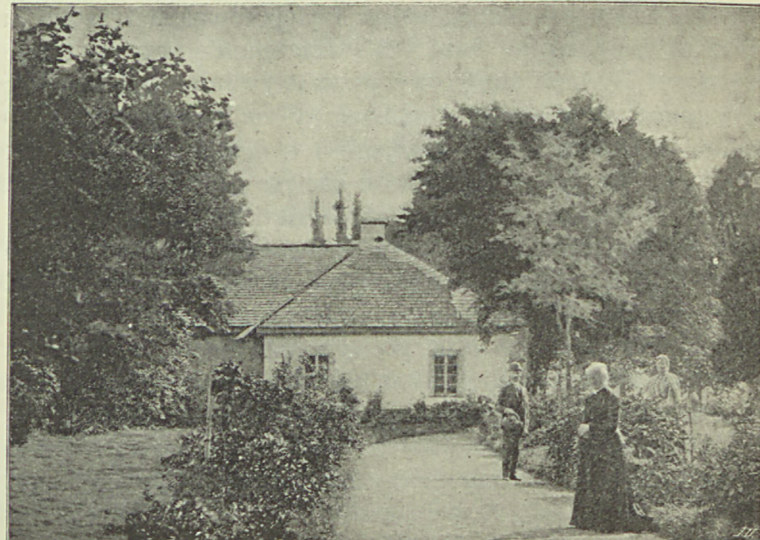
I tu znowu zmuszeni jesteśmy zerwać z tradycją, która każe Maryli być zaręczoną z W. Putkamerem w chwili poznania Mickiewicza; wydaje się nam to bowiem fałszem psychologicznym w zestawieniu do późniejszych uczuć Adama Mickiewicza, a fałszem historycznym—w stosunku do zwyczajów ówczesnych. Taka natura, jak Adama Mickiewicza, lubo młoda i nie wytrawna, lecz zawsze prawa i dumna, kazałaby mu zamknąć w sobie pierwsze przeżycia uczucia względem cudzej narzeczonej i natychmiast się usunąć; on nie byłby zdolny do ukradkowego zbierania okrucich uczucia ze wspólnie spędzonego czasu, para narzeczonych aż dwa i pół przeszło roku czekała na zaślubiny, bez powszechnie znanej i nader ważnej przyczyny. Na to przedewszystkiem nigdy nie pozwoliła Pani Wereszczakowa i cała jej rodzina i rozrodzona rodzina. Takie odwołanie się do przeszłości nie było po stronie ostatniej. On był młody (27 lat), bardzo przystojny, już znany jako jednostka o wybitniejszym polocie, i zamożny, ona zaś średnio ładna, z wysokim na owe czasy wykształceniem, lecz mało posażna (15 tys. rubli posagu nigdy nie wpłynęły do kieszeni małżonki, lecz całkowicie były zużyte przez żonę na cele co prawda szlachetne).

To wszystko każe wierzyć, że Adam Mickiewicz spotkał się z Marylą w warunkach, zapewniających obu stronom prawa jednakie, choć może niejednakowo obie strony były uzdolnione do przyjęcia i pielęgnowania—szacownych przeżyć gorącego uczucia.

Przy takim, jak mniemamy, zupełnie wierszem zobrażeniu nawiązania się stosunków, upada w zupełności przez wielu zaznaczana jeszcze dosłubna wspaniałomyślność Puttkamera, a obok tego, co ważniejsze, upada i zarzut świadomego pościgu za wieńcem mężeńskim ze strony Adama

Mickiewicza, gdyby taki zarzut zechciałby kto jego pamięci uczynić. Nie mniej i od Maryli daje się uchylić osądzenie o zbytnią płochość i całym współczesny, nieco rozkielznany flirt, którego już nie obroni najbardziej tkliwy sentymentalizm doby ówczesnej.

A więc stanęli naprzeciw siebie, a dusze ich i serca wnet rozpoczęły pochód mimowolny po wspólnych szlakach fantazji, marzeń i duchowych rozrywek, zrazu nieśmiało i rzadko, a później coraz częściej, już bezpośrednio zaczepiając wzajem

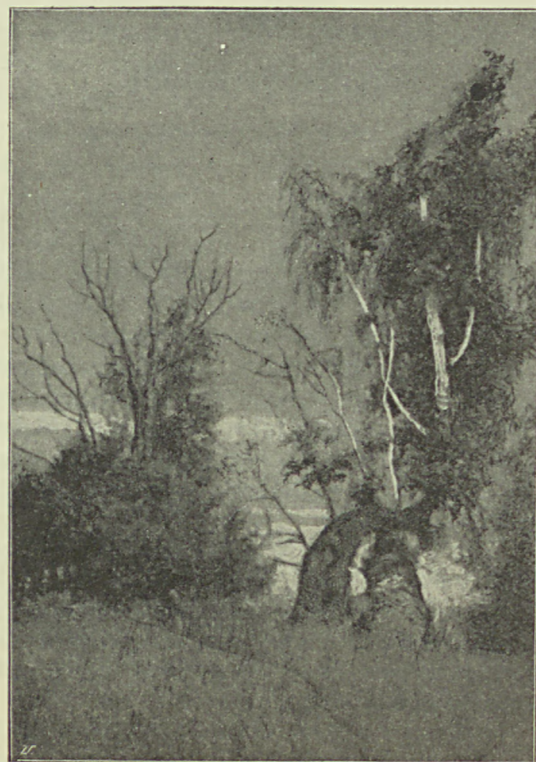


Dom mieszkalny (nowy) w Tuhanowiczach.

o siebie. Cóż dziwnego, że w tym pochodzie cała przewaga była po stronie Maryli, boć ona była panną dorosłą, a on młodzieniaszkiem całkiem naiwnym w tłumaczeniu najprostszycich objawów życia salonowego! Ta wytworna i arystokratyczna panna onieśmiała go prosto; prawdopodobnie w jego głowie myśl o posiadaniu Maryli zrodziła się dopiero w dobie niemal ostatniej, kiedy był już zagrożony jej utratą; przedtem:

*Tak się to wszystko plotło bez celu i końca,
I w blaskach księżycy, i w promieniach słońca...*

Dość, że było im dobrze obojgu. Matka wi-



Brzoza zasadzona przez Mickiewicza w Tuhanowiczach.

działa w tem jedynie zabawę ukochanej jedynaczki, bracia zaś zbyt byli zajęci sobą, zabawami i zdobywaniem potrzebnej popularności u sąsiadów.

Poznajmyż się teraz z terenem, na którym się rozsnawała owa tęczowa gra dwu serc, która się w następstwie tak odbiła w życiu obojga, choć nie z jedną siłą i w sposób dość odmienny.

W ogrodzie, zaraz za głównym domem, wznosi się grupa olbrzymich lip, a wśród ich pni stoi ławka—to ulubiona altana Mickiewicza. Nieśmiały student zdradził wtedy co najmniej... wiele po-

mysłowości w ukochaniu tego zakątka. A więc jak dziś, tak i wtedy, gdyż lipy liczą z pewnością więcej niż sto pięćdziesiąt lat istnienia, w altanie tej panuje stały cień i pół-mrok, a obok tego z tej ławki patrzy się wprost na okna domu—okna pokoju Maryli, odległe zaledwie o jakie sześćdziesiąt kroków. Jakże to miło było tu, w ukryciu, śledzić każdego ranka pierwsze ślady życia za firankami tych okien, lub w cichą i piękną noc leżąc z ruchu cienia zgadywać, co robi ukochana!

Obszerny ogród spacerowo-owocowy w Tuhanowiczach stanowi sam w sobie doskonałą całość prastarych drzew, ładnych wzgórz i prześlicznych widoków; oboje tedy młodzi mieli tu dość miejsca i sposobności do pojenia się wrażeniami natury, ku czemu, być może, jednako byli uzdolnieni. Nie brakło tu na dwóch wzgórzach—dwóch kaplic, które przetrwały do dziś dnia. W pobliżu, na wzgórzu, znajdujemy brzozę Mickiewicza, jakoby własnoręcznie przez niego zasadzoną, a o kilka kroków zwykły płaski kamień polny, tu również przez niego umieszczony. Przed laty burza nielitościwie obeszła się z drzewem, i piorun je roztrzaskał; odtąd pień zniszczony w 3/4 i skrzepiony, żyje jeno wązkim miąższem ocalonego drewna i miążgi i karmi dwie dość duże odnogi. Troskliwa ręka właścicielki dała tu słup z cegły i podporę drewnianą dla ochrony pamiątki, wszakże życie drzewiny wisi na łasce pierwszego silniejszego podmuchu.

Na co tu ten kamień? Wszak wygodniej było o wiele, skoro jest on tak płaski, siedzieć już na zielonej murawie; tak, to prawda, ale pod taki kamień wybornie można schować karteczkę z kilku słowami na „dzień dobry“, po nocy źle przespanej, przed wyjściem na polowanie, a o tem „nieśmiały“ student wiedział wybornie, i podobno kamień nieraz pełnił rolę dyskretnego pośrednika wymienianych kartek. Jakby dla lepszego wyjaśnienia tej okoliczności, stąd od cerkiewki już się widzi drugie w kącie parku wzgórze—prześliczne, ocienione kilkunastu odwiecznymi dębami—to ulubiony zakątek Maryli, dokąd szła z książką w ręku, często uciekając przed gośćmi mniej miłymi.

(D. e. n.)



Obrazek z końca 18 wieku.

Dowcipy krążą, jak motyle,
Uśmiechy kwitną bałamutne,
Korydon zerka na Lucylę:
Stworzenie „srogie i okrutne;“
Żrenice płoną, jak brylanty,
Z serc do serc iskra leci chyża,—
A na balkonie muzykanty
Grają gawota wprost z Paryża!

Ówdzie francuskie dzwoni słówko,
Z temperaturą wrzącej lawy...
Ot, margrabinka z jasną główką,
Najpierwsza piękność: cud Warszawy!
Wyjawia trzpiotce swe uczucie
Arlekin: zaklęć płynię fala!
Ej, królu Stasiu, bałamucie:
Pani Grabowska patrzy zdala!

Inflancki poseł: kwiat młodzieży
Szarmancką służbę zwinnie czyni,
Szepcząc do uszka koncept świeży
Ślicznej markizie Lucchesini!
A książkę Pepi: gracya sama!
Z miną psotnego broi żaczka,—
Wszystko mu jedno: wielka dama!—
Mieszczka!—kwiaćciarka!—pomywaczka!

Zaiste, piękne to reduty!
I serc i duchów maskarada!
Żaden w gawota słodkie nuty
Fałszywy dźwięk się nie zakrada!
Złociste gwiazdy lśnią na niebie,
Skronie bez chmury i bez troski!...
...Tylko smętniej tam... u siebie,
Kołątaj—Dekert—Małachowski!...

DAWNE ŚLUBY I WESELA.

Do załotach, czyli, jak je niegdyś nazywano, ogłędach, po zaręczynach (zrękowinach), następował wreszcie ślub i wesele. Rzecz prosta, że inaczej odbywały się uroczystości owe na dworcach królewskich, a inaczej u ludu, inaczej u magnatów i u możniejszej szlachty, a inaczej jeszcze u szaraczków i mieszczań. Różnica jednak polegała głównie na mniej lub więcej bogatym przyjęciu gości weselnych, obrzędzie zaś, odprawianemu przy podobnych okazjach, były prawie jednakowe we wszystkich warstwach narodu.

Jak świadczy Bartosz Paprocki w „Herbach rycerstwa polskiego“, śluby za dawnych lat dawno w Polsce po domach; dopiero za biskupstwa Fulka, biskupa krakowskiego (1186—1207), przyjechał kardynał legat Piotr *Kapuanus*, „który zakazał, aby ślubów nie dawano w domach, tylko w kościołach.“

Wedle starożytnego obyczaju, śluby i wesela odbywały się aż do połowy XVIII-go wieku tylko w zapusty; zdarzały się wyjątki, ogół jednak trwał przy tradycji, i małżeństwom w innym czasie zawartym nie rokowano szczęśliwej przyszłości¹⁾.

Z jakim zbytkiem i przepychem wyprawiano wesela nie tylko u szlachty, lecz i u mieszczań, świadczą prawa, zbytki te ukrócające. Kazimierz Wielki np. stanowił, że: „ktokolwiekby wesela wyprawiał, nie powinno być na niem więcej niż 30 mis, a do każdej trzy osoby.“ Nie wliczało się

¹⁾ Wójcicki, Niewiasty polskie.

jednak w tę liczbę pańien, księży i osób obcych, nie posiadających prawa miejskiego w Krakowie. Pięć dań, nie więcej, mogło być na weselu. Kuglarzy, co śpiewali lub wierszem gadali, zwanych „rimarii“, dozwolano zgromadzić 8, kuglarzy zaś, którzy okazywali figle nieprzystojne, ustawa Kazimierzowska zabrania zupełnie.

Widocznie nie skutkowały jednak owe prawa, bo oto w roku Pańskim 1378-m Rada miejska i starszyzna miasta Krakowa uchwała i spisuje artykuły, ku ograniczeniu marnotrawstwa zmierzające, „które należy dla dobra i pożytku mieszkańców zachować weale i nieodmiennie“²⁾.

W artykułach tych nie dozwala się zapraszać na wesele więcej niż 8 osób ze strony nowożeńca i 8 ze strony oblubienicy; z tej liczby ośmiu osób wyłączają się małżonki i dzieci; prócz tych może jeszcze być 8 osób, które nie są współmieszczanami (mitburger). Nie liczą się także domownicy. Grajków tylko czterech, nie więcej, grać może na zabawie weselnej, każdemu zaś z nich po 6 jeno groszy w zapłatę dać trzeba. Dary na wesele czynić, tudzież przyjmować zabrania się.

Magistrat lwowski podobną wydał ustawę w roku 1383; w Poznaniu w r. 1621 ogłoszono „Laudum ku poskromieniu zbytków w częstowaniu i strojach i ordynacją ze strony wesel, kolacyi

¹⁾ Grabowski Ambr. Starożytnicze wiadomości o Krakowie, str. 183.

i t. d.“³⁾; w Warszawie niejednokrotnie zajmowali się ojcowie miasta unormowaniem spraw tego rodzaju. Wogóle prawa i uchwały takie były w grodach polskich na porządku dziennym aż do końca XVIII wieku.

Wesela na dworcach królewskich odznaczały się wspaniałością i przepychem niebywałym. Naruszewicz powiada, że wesele Bolesława Krzywoustego w 1102 roku (pojął wtedy Bolesław Zbysławę, Świętopelka kijowskiego córkę) „poprzedziło ośmiu dniami rozdawanie bogatych podarunków w rzeczach i dzierżawach (dobrach ziemskich), a po ślubnym akcie przez tyleż jeszcze dni trwało“⁴⁾. Na wesele Zygmunta I-go i Bony Sforcyi posłowie imieniem królewskim zapraszali cesarza, który jednak nie przybył. Zaślubiny odbyły się w Neapolu, króla zastępował jeden z posłów, Stanisław Ostroróg, kasztelan kaliski. Drugi poseł, Jan Konarski, archydyakon krakowski, tak pisze o tem w liście do króla:

„Nakoniec (co niech będzie szczęśliwym i pomyslnym) 6-go grudnia, w dzień Ś. Mikołaja, Patrona Baru, około godziny dwudziestej, zaślubiłmy imieniem W. K. Mości najjaśniejszą Bonę. Akt ten w takiej liczbie najpierwszych w Królestwie panów i matron, z taką odprawą się wspa-

¹⁾ Łukaszewicz, Opis Poznania. Tom I, str. 125.

²⁾ Naruszewicz, Historia nar. pol. Tom V, str. 162. Wyd. lipskie.



Helena Modrzejewska

(WZDLUG NAJWIĘKSZYCH FOTOGRAFII)

w roli Damy Kameliowej.



w roli Adryanny Lecouivre.

niałością, iż się zdawało, że nie księżna owdowiała, lecz można królowa odprawiała go”¹⁾.

Katarzynę austriacką, wdowę po księciu Mantuańskim, zaślubił, zastępując Zygmunta Augusta, Mikołaj Radziwiłł, wojewoda wileński. Ślub i wesele odprawiono w Wiedniu. „Biskup ślub dawał, a wojewody wileńskiego rękę z księżny Mantuańskiej ręką wiązał stulą. Po ślubie szli wszyscy na zamek; za tym nastąpiła wiececzna. Gdzie król siedział z gośćmi, wyższe na kilka stopni miejsce uczyniono. A u stołu nie było ich więcej, jedno król Ferdynand (ojciec Katarzyny), król czeski Maxymilian, syn jego, posłowie, królowa przyszła i księżna saska. Po wiececzy były tańce; król Ferdynand sam tańcował, i bardzo wiele. Tamże inne ceremonie się odprawowały, ale nie z owemi wielkimi, jako u nas bywają, owacyami”²⁾.

Wdowa królewska, gdy szła drugi raz za mąż, miała spodem suknie żałobną, na wierzchu zaś wesełną ze złotej lamy, przed ślubem składała żałobę na stopniach ołtarza. Tak było właśnie, gdy wyżej wzmiankowana Katarzyna Mantuańska „przysięgała wiarę mężowi, stwierdzając przysięgę, już wprzód w Wiedniu daną.”

Wesele Zygmunta III-go z drugą żoną, Konstancją austriacką, trwało bardzo długo, bo od Bożego Narodzenia począwszy aż do mięsopustu³⁾. Ślub

Władysława IV-go z Maryą Ludwiką odbył się w Warszawie w kościele Ś. Jana. „Król miał na sobie suknię francuską z materii srebrnej, najnowszego kroju, na głowie kapelusze kastorowy, przepasany sznurem ogromnym dyamentowym, przy nim czaple pióra. Pana młodego w krzesło zanieśli do kościoła (chory był na podagrę). Nunceusz ślub dawał. Potem śpiewano *Te Deum*, a gwardya i muszkieterzy dali ognia”⁴⁾. Kolacja była w pokoju królowej; służyły do niej damy. Trzy dni po ślubie zeszyli na przyjmowaniu podarunków weselnych od dygnitarzów koronnych i magnaterii. Do 400000 talarów warte były podarunki owe, a królowa jejmość, skąpa i niebogata, cieszyła się nimi nad miarę.

Zaślubiny królewicza Jakóba Sobieskiego z księżniczką Nejburską odbyły się w Warszawie z niezwykłym przepychem. Stolica Królestwa zaprzęgnęła uczciłi nowożeńców, i rzeczywiście uczciła ich wspaniale. Wzniesiono bramę tryumfalną z napisem wierszowanym, który ułożył ksiądz Dominik od OO. Pijarów, za co mu zlp. 100 zapłacono. Illuminowano miasto całe, spalono fajerkę, wreszcie ofiarowano prezent państwu młodym, a mianowicie: „parę lichtarzy, które ważyły grzywien 30, dico trzydziści, augszpuńska robota; grzywna po jedenaście talarów bitych, czyni talarów trzysta trzydziści, po złotych sześć i groszy dwadzieścia rachując, *summa facit* 2200 zlp.”⁵⁾

¹⁾ Gołębiowski, Lud polski, str. 190.

²⁾ Weinert, Opis histor. zaślub. król. Jakóba Sobieskiego, str. 22.

Jedną z główniejszych ozdób uroczystości wesela królewicza Jakóba były widowiska teatralne. Pomiędzy innymi grano sztukę w języku włoskim, bardzo modnym podówczas; sztuka ta miała tytuł: „Miłość stała, czyli wytrwanie w przeciwnościach.” Autorem „Miłości stałej” był Jan Chrzecieli Zampagnani, muzykę napisał Viviano, nadworny kapelmistrz Jana III-go.

Z wesel magnackich słynne było wesele Jana Zamojskiego, syna Tomasza, a wnuka wielkiego Jana, z piękną Maryą Kazimierą, margrabią de la Grange d'Arquien (późniejszą królową Sobieską). Wesele to odbyło się w roku 1657, z iscie królewską wystawą. Butny „Sobiepan” (znają go czytelnicy z „Potopu”) wystąpił jak książę udzielnny. Oboje królestwo uczestniczyli w uroczystościach ślubnych. Arcybiskup Leszczyński połączył narzeczonych.

Wysadził się również ów, smutnej pamięci rokoszaniec Jerzy Lubomirski, wydając córkę swą Konstancję za Stanisława Potockiego. Wesele odprawiono w Łańcucie. Około zamku łańcuckiego zbudowano naprędce 40 pokoiów z tarcie, gdyż liczne gmachy zamkowe nie mogły pomieścić tłumów gości. Posłów z upominkami króla Jmci, eudzoziemców, panów możnych, pułkowników i rycerstwa przez 3 dni było 1500.⁶⁾

Królowie zwykli byli prowadzić do ślubu panny z dworu swych małżonek. Dworzanom swoim w dzień ślubu którego z nich król dawał upominek weselny.

⁶⁾ Gołębiowski, Lud polski, str. 196.

U szlachty uboższej wesela odbywały się z mniejszą naturalnie wspaniałością, ale wbród jednak musiało być jadła i napoju, a przy oddawaniu panny młodej panu młodemu obyczaj kazał zastawiać koniecznie cukrową kolację i wino muszkatel. Wesela u najuboższych nawet trwały po tygodniu i dłużej.

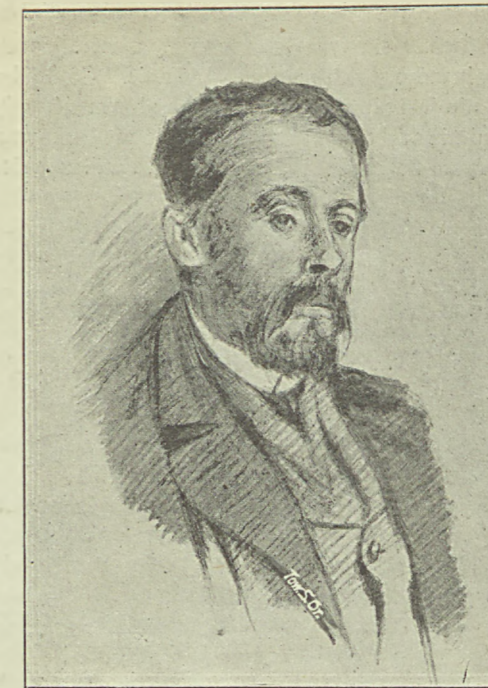
„Panna młoda, ubrawszy się do ślubu, padła do nóg ojcu i matce, płacząc i prosząc ich o błogosławieństwo. Po ślubie następowała uczta szumna i huczna. Gruntem uczy weselnej był kolacz; matka, wyprawiając córkę z domu i mężowi ją oddając, albo kolacz, albo chleb przed nią stawiała. Po uczcie dawano wody do umycia i zaraz następowały tańce. Jeden z krewnych brał w taniec pannę młodą, a jedna z krewnych — pana młodego. Pan młody ukłonił się pannie młodej, i zaraz taniec rozpoczynano. Kiedy przyszło w odbijanie, wtedy dopiero tańczyło z sobą państwo młode, niżej jeszcze ukłoniwszy się sobie”⁷⁾.

Przy weselach staropolskich nie obeszło się nigdy bez oracyi; prawiono je, oddając wieniec przed ślubem, oddając po ślubie od rodziców albo opiekunów pannę młodą, od pana młodego, dziękując za pannę młodą, dziękując panu młodemu za upominki, jednym słowem: przy każdej okazji, bo starzy Polacy lubili się popisywać wymową.

„Suknie swoje ślubne małżonkowie chowali pilnie i troskliwie ich strzegli aż do samej śmierci, kiedy niekiedy, i to tylko w dni świąteczne, biorąc je na siebie dla przewietrzenia.”

Mieszkańskie śluby i wesela, pomimo tylu praw, zbytki ukrócających, (o czem wspominaliśmy powyżej), nie ustępowały często magnackim pod względem przepychu i wystawności. Zresztą najwyżsi dygnitarze koronni zaszczytali nieraz wesela takie swoją obecnością. Na weselu naprzykład córki Dominika Wilczka, patrycyusza lwowskiego, byli: kasztelan krakowski, pierwszy senator świecki w Królestwie, wojewoda ruski, chorąży koronny i wielu innych panów. Królowa nawet, Marya Kazimiera, wdowa już podówczas, przyszła zastępczynie swoją i podarek kosztowny dla panny młodej. Wilczkówna wyszła za doktora medycyny i rajcę lwowskiego, Kazimierza Kupińskiego⁸⁾.

⁷⁾ Maciejowski, Polska, Tom III, strona 81 — 2.
⁸⁾ Łoziński, Patrycyat i mieszczaństwo lwowskie, strona 155 — 6.



rys. Mir. Gajewski.

Antoni Kurzawa.

(Patrz „Z tygodnia na tydzień”).

Mieszczanie krakowscy, warszawscy, lwowscy, poznali się i wileńscy śmiało mogli za dobrych swoich czasów iść w paragon z najmożniejszą szlachtą. Pod względem majątkowym, a nawet i umysłowym, stali zupełnie z nią narówni. Nieraz też zdarzało się, że córki mieszczańskie wychodziły za członków najznakomitszych rodzin polskich.

Artur Oppman.

Nasze ryciny.



Czesław B. Jankowski: Widmo. Rysunek powyższy utalentowanego artysty, Czesława B. Jankowskiego, ilustruje końcówką i zarazem kulminacyjną scenę I części „Dziadów” Mickiewicza. W kaplicy, wieczorem, guślarz wywołuje dusze zmarłych i zapytuje, czego pragną, aby w miarę możliwości zaspokoić ich żądania. Wreszcie, około północy zwi-

stuje zgromadzonym koniec „strasznej ofiary,” rozkazując odemknąć drzwi kaplicy i zapalić lampy i świece. Lecz w chwili tej zapada nagle podłoga, i ukazuje się blade i tajemnicze widmo młodzieńca, które zwraca się do jednej z obecnych na obrzędzie wieśniaczek. Twarz jego blade, „jako śnieg po nowym roku; wzrok dziki i zaseponiony utopił całkiem w jej oku.” Widmo z krwawą pręgą na piersi wpatruje się w milczeniu w pasterkę, wskazując ręką na swoje serce. Wrażenie tej niemej sceny potęgują wyrazy twarzy obecnych wieśniaków i wieśniaczek, pełne przerażenia i ciekawości zarazem.

Elekcya Jana Kazimierza. W obrazie tym, pomieszczonym na wystawie p. Alexandra Krywulca, niestarzejący się Juliusz Kossak zillustrował przepysznie scenę obioru Jana Kazimierza w roku 1648 na Woli pod Warszawą, kiedy pod grozą kłęski konsultskiej zgromadzone stany oddały berło synowi Zygmunta III-go. Nowo obrany monarcha, w otoczeniu p. inów braci, dostojników państwowych, w towarzystwie kanclerza Ossolińskiego, Kisiele i innych, jedzie z pola elekcyjnego ku miastu, witany po raz pierwszy z honorami należnymi jego monarszewi majestatowi.

Gniewasz się?... Mniejsza o to! — Mamy przed sobą doskonałą i charakterystyczną scenę rodzajową, wykonaną przez St. Grocholskiego z właściwą mu subtelnością w rysunku. „Ona” odwraca się od „niego” ruchem pogardliwym, a zarazem pełnym wdzięku. Na twarzy, posiadającej w wyrazie wiele sentymentu, igra pół-uśmiech figlarny. Więcej w tem żartu, niż gniewu lub niezadowolenia. „On” również nie pozostaje jej dłużnym. Ruchem i wyrazem twarzy daje poznać, że nie dba o jej gniew. W jego postaci znowu przebija się cały komizm sytuacji udanego „gniewu.” Oba rysunki stanowią dobrą całość artystyczną. Są one rodzajem bajki rysowanej, a epiczny jej charakter odbija się w sposobie traktowania motywu. P. Grocholski, ile się zdaje, byłby doskonałym ilustratorem Lafontaine'a.

Helena Modrzejewska.



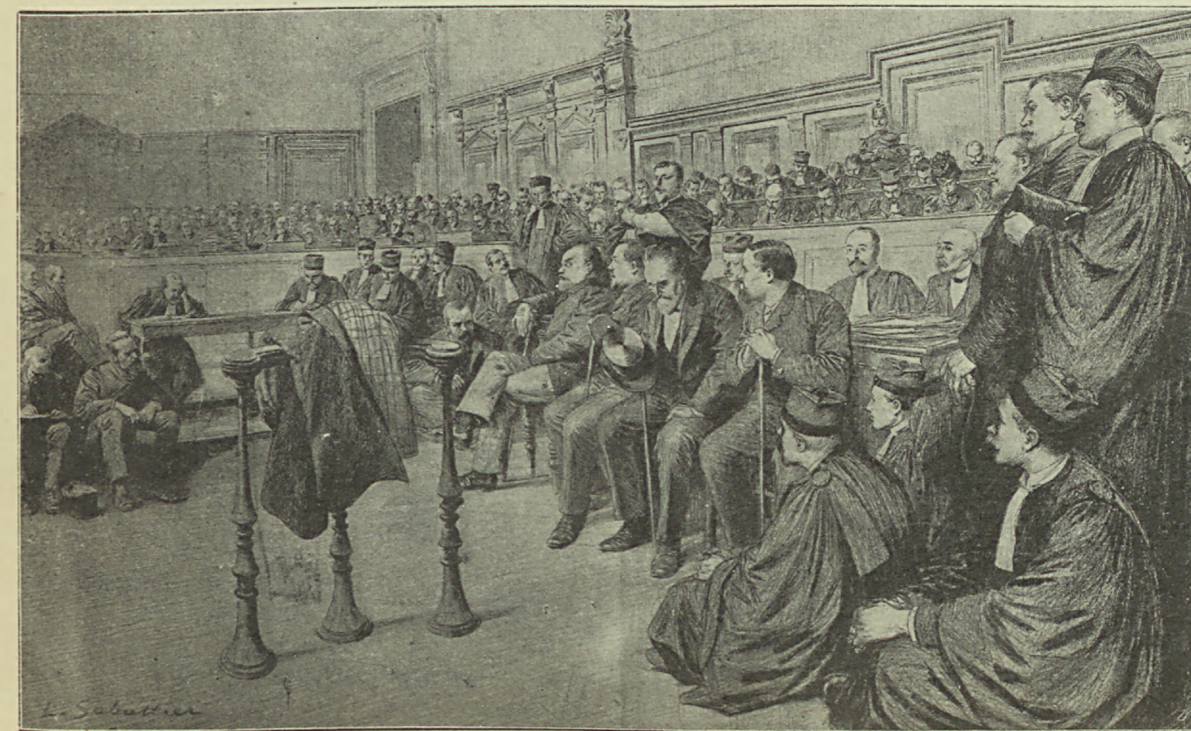
Niedawno krążyły niepokojące wieści o stanie zdrowia bawiącej za Oceanem znakomitej artystki naszej, p. Heleny Modrzejewskiej.

Zasięgnięte informacje źródłowe stwierdzają, że istotnie p. Modrzejewska przeszła dość ciężką chorobę, obecnie jednak nietylko o jakimkolwiek niebezpieczeństwie dla jej zdrowia mowy nie ma, lecz nawet czuje się tak dobrze, iż odbywa podróż artystyczną po główniejszych miastach Stanów Zjednoczonych, budząc wciąż podziw swą grą niezrównaną, w języku obcym jej, a przyswojonym mistrzowsko.

Obecna jej podróż artystyczna, piszą nam z Chicago, gdzie występy artystki cieszyły się wielkim powodzeniem, okazała się pod względem finansowym tak korzystną, że przedłużona została o kilka miesięcy, a Nowy York, który nie znajdował się na marszrutcie, został do niej włączony. W tem ostatnim miesiącu zabawi dwa tygodnie i wystąpi w Magdzie („Gniazdo rodzinne”) Sudermanna, w Maryi Stuart, Damie Kameliowej i Makbecie.

Z Nowego Yorku artystka wrócić miała do Chicago.

Dla fotografów portrety „Modjeskiej” są źródłem dobrego dochodu, to też w czasie swego pobytu w Chicago, znakomita artystka była obleganą przez przedstawicieli najpierwszych firm fotograficznych amerykańskich, pragnących wykonać jej fotografię. Pomimo to pani M. dała pierwszeństwo polskiemu zakładowi fotograficznemu p. Idzikowskiego, znanego z nader wysokiego ar-



Zola Labori Al. Clémenceau G Clémenceau

Pierwsze posiedzenie sądu w procesie Zoli.

(Patrz „Politykę”).

Nowe książki,

nadesłane do redakcji Tygodnika Ilustrowanego,

Encyklopedia, zbiór wiadomości ze wszystkich gałęzi wiedzy. Wydanie „Macierzy Polskiej.” Tom I. Lwów, z drukarni E. Winiarza, 1898.—W ostatnich czasach na polu wydawnictw encyklopedycznych zawrzał ruch znaczny. Obok „Wielkiej Encyklopedyi illustrowanej,” która jednak, niestety, obliczona jest na dziesiątki lat, widzimy obecnie rzetelną pracę nad nową Orgelbranda, prócz tych zaś, ukazują się liczne encyklopedye fachowe. Obecnie przybyło nowe tego rodzaju wydawnictwo „Macierzy” lwowskiej, której zadaniem, jak wiadomo, jest wedle aktu fundacyjnego: „szerzenie oświaty w tych warstwach, w których jej potrzeba okaże się najpilniejszą.” Oparta na tej podstawie, „Macierz” przystąpiła do wydania encyklopedyi popularnej, mającej na celu przysporzenie dzieła, któreby zrozumieć i którego użyć mógłby każdy, kto posiada bodaj skromne wykształcenie, czuje potrzebę jego rozszerzenia, a czytając dzienniki i książki, spotyka wyrazy niezrozumiałe. Wyjaśnienie ich krótkie, a jednak wyczerpujące, znajdzie w nowym dziele, którego, zaznaczyć to należy, dotychczas piśmiennictwo nasze nie posiadało. Ta więc encyklopedia przeznaczona jest dla właścian, dla nauczycieli szkół ludowych, dla rzemieślników, robotników, kupców i wogóle dla tych wszystkich, którym encyklopedye, skreślone w obcych językach są niedostępne. I jeszcze jeden szczegół niemałej wagi. Jak już nawet z pobieżnego przejrzania pierwszego tomu widoczna, encyklopedia ta dla ludzi wykształconych, bo i oni z niej czerpać mogą obficie, będzie rodzajem słownika, czyli t. zw. „*Conversations-Lexiconu*,” dla mniej zaś inteligentnych, nie posiadających w dodatku książek, będzie rodzajem wypisów, książką do czytania, gdyż znajduje się w niej wiele dłuższych artykułów, traktowanych nie encyklopedycznie. W szczególności do takich zaliczyć należy ustępy o gospodarstwie wiejskiem i opowiadania o wybitnych osobistościach lub ważnych wypadkach z dziejów i literatury polskiej. Bardzo słusznie natomiast zaprowadzono oszczędności w dziale życiorysów ludzi współczesnych, a w ten sposób poświęcono więcej miejsca ważniejszym sprawom. Opracowaniem poszczególnych artykułów zajęli się ludzie poważnej nauki i literaci, tak, iż śmiało można zaznaczyć, że encyklopedia ta nie jest czerpaną z drugiej ręki, z innych wydawnictw, lecz jest dziełem oryginalnem, pisanem przez fachowców. Do grona tego między innymi należą profesorowie uniwersytetu: dr. Kadyi, dr. Szpilman, ks. dr. Bolesław Twardowski, dr. Kazimierz Twardowski, dr. Zakrzewski, dr. Zuber, dr. Ciesielski, dr. Kolessa, dr. Puzyna i dr. Siemiradzki; następnie wielu profesorów gimnazjalnych, szkół przemysłowych i ludowych, szkoły rolniczej w Dublinach, kilku adwokatów, dalej specjalistów w leśnictwie i rybołówstwie, ogrodnictwie i gorzelnictwie, oraz wielu, wielu innych. Z literatów zawodowych do grona redakcyjnego należą: Władysław Bełza, dr. Adam Bienkowski, dr. Wilhelm Bruchnalski i Tadeusz Czapelski. Liczne to grono (a wymienilem zaledwie połowę współpracowników) kornie i ochoczo, z wiarą w dobrą sprawę, pracowało mozolnie, częstokroć z oderwaniem się od zawodowych zatrudnień, pod wodzą profesora uniwersytetu, historyka, d-ra Ludwika Finkla, któremu społeczeństwo nasze winno już

tak szczęśliwy pomysł, jak urządzenie kursów akademickich dla kobiet, historia posiada w nim dziełnego pracownika na tej niwie, literatura zawdzięcza mu wiele wybitnych prac, a uniwersytet chlubi się tym zasłużonym mężem. Pod jego kierunkiem dzieło przyszło do skutku, i w tych dniach właśnie ukazał się pierwszy tom Encyklopedyi, zawierający 788 stronic. Drugi i ostatni ukaze się w lipcu b. r. Zanotowawszy w końcu bajecznie niską cenę (dwa tomy formatu wielkiej ósemki bez oprawy 1 złr. 50 centów, w oprawie dwa złr.), muszę wyrazić tu pewność, iż najnowsze to wydawnictwo „Macierzy” dozna jak najprzychylniejszego przyjęcia, na które w pełni zasługuje.

Ilustrowane wydanie „Dziadów.” — Zasłużona lwowska firma księgarska H. Altenberga wypuściła z końcem r. z. wspaniałe wydanie arcydzieła Mickiewicza z ilustracjami znanego artysty, Czesława B. Jankowskiego. Piętnastoarkuszowy tom wielkości foliału mieści w sobie jedenaście heliograviur i siedm rycin w tekście; wszystkie one, dzięki znakomitemu ołówkowi Jankowskiego, który nie tylko technicznie rzecz opowiadał, lecz i wniknął w ducha poezyi wieszczą, wyszły świetnie, w czem też spora zasługa i zakładu wiedeńskiego R. Paulussena. Zauważyć tu należy, iż artysta przedstawił Gustawa w rysach wielce podobnym do wielkiego twórcy „Dziadów,” co niezaprzeczenie należy do bardzo szczęśliwych pomysłów. Wydanie mniejsze zawiera pierwszą, drugą i czwartą część w świetnem opracowaniu tekstu przez jednego z najlepszych znawców Mickiewicza, d-ra Wilhelma Bruchnalskiego. Dzięki tedy Altenbergowi, którego staraniem ukazały się już następujące arcydzieła wieszca: „Pan Tadeusz,” „Konrad Wallenrod,” „Ballady” i „Grażyna.”—do skarbca tego przybyły „Dziady.” Wytworne to wydawnictwo, jakimi za granicą uczczono już wszystkich wielkich poetów, zasługuje tak pod względem szaty zewnętrznej (co tu niemałą gra rolę), jak w kierunku artystycznym i wzorowej poprawności tekstu na bezwarunkową pochwałę.

Wśród chmur i słońca, przez F. Armstrong'a, powieść dla młodzieży, przekład z angielskiego.—Powieść niniejsza to jedna z wielu smutnych prób tłumaczenia utworów lichych i tuzinkowych. W jakim celu—pytamy—uczyć młodzież całego szeregu pustych salonowych rozmów, wskazywać panienkom, w czem komu do twarzy, jakie oświetlenie najwięcej podnosi urodę blondynki i t. d.? Stanowczo zaś szkodliwym jest przedstawianie takich typów, jak matki egoistki, która, nie mogąc zrozumieć ruiny majątkowej, cały ciężar pracy zrzuca na barki córek. Najstarsza z tych córek, Dona, to wierny obraz matki: oświadcza, iż pracować nie potrzebuje, bo wyjdzie za bogatego lorda; autor zaś, zdaje się, podziela jej sposób myślenia, skoro w końcu powieści Dona zostaje milionową lady.

Bibliografia.

- | | |
|--|---------|
| Bogucka C., C. Niewiadomska, M. Pruska i Jadwiga Warnkówna. Podręcznik do systematycznego dyktanda, według uchwał Akademii Umiejętności w Krakowie. Wydanie trzecie, przejrzane i uzupełnione. Warszawa. W opr. | —80 |
| Jeź Teodor Tomasz. Jerzy Czarny (Kara Georgi) życie i czyny jego. Spisał (Wydawnictwo imienia Kasyldy Kulikowskiej. Książeczka II). Iwów. | —40 |
| Kornella Andrzej. Torf i jego znaczenie w gospodarstwie społecznem. Z tablicą. Odbitka z „Czasopisma technicznego.” Lwów. | —70 |
| Krogulec. Bismarck w satyrze. Warszawa. | —20 |
| Kuczalska-Reinschmit. Nasze cele i drogi. Szkic do programu działalności kobiecej. Dodatek do „Steru.” Lwów. | —30 |
| Mazières. Praktyczne wskazówki użycia nawozów sztucznych. Wydane w języku francuskim przez Towarzystwo zachęty do rozwoju użycia nawozów sztucznych we Francji. Przetłómaczone na język polski i wydane staraniem Łowickiego Towarzystwa przetworów chemicznych i nawozów sztucznych r. 1898. Warszawa. | —25 |
| Majewski Erazm. Wskazówki do konserwowania przedmiotów starożytnych (wykopalisk). Odbitka z „Wisły.” Warszawa. | —20 |
| Ostoja K. R. Ustalenie najniższych cen zboża, pokrywających koszt jego produkcji. Warszawa. | —20 |
| Pawłowski A.—Teki. —Tom III i IV. Księgi sądowe łęczyckie od 1385 do 1419. Część I i II. Warszawa. Cz. I. | 2,50 |
| | Cz. II. |
| Poradnik dla samouków. Część I. Matematyka. Nauki przyrodnicze. Pod redakcją S. Dicksteina, I. Ejsmonda, S. Kramsztyka, L. Krzywickiego i A. Mahrburga przy współudziale grona specjalistów. Wydany przez Alexandra Hellicha i Stanisława Michalskiego. Warszawa. | —50 |
| Słowacki Juliusz. Poemata. Z przedmową Piotra Chmielowskiego. Godzina myśli.—W Szwajcaryi.—Ojciec zadumionych w El-Arish.—Wacław.—Podróż do Ziemi Świętej z Neapolu. (Poemat niedokończony. 1836 r. Wydanie pośmiertne). Warszawa. | —25 |
| Świętochowski Aleksander. Pisma. Tom III. Bajki. Kraków. | 1,20 |
| Weysenhoff Józef. Żywoć i myśli Zygmunta Podhlipskiego. Warszawa. | 1,50 |
| Wernie Henryk. Pierwsza książeczka do czytania. Wydanie trzecie. Warszawa. | —25 |
| Wildt Dr. E. Katechizm chemii rolnej. Z szóstego niemieckiego wydania przełożył Ignacy Grabowski. Warszawa. | 1,20 |

Nadesłane.

Rzym Papieży

Wydawnictwo bardzo ozdobne w dużym formacie z licznymi ilustracjami na pięknym papierze, z portretem Ojca Św. Leona XIII, zawiera opis kościołów i uroczystości kościelnych, muzeów Watykańskich, Dworu Papieskiego, zabytków starożytnych, arcydzieł sztuki Stolicy Piotrowej i t. d.

Cena w ozdobnej oprawie z insygniami i złoceniami rs. 10, bez oprawy rs. 8.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Nakład Gebethnera i Wolffa.

GOSTOMSKI WALERY OBRAZ
LITERATURY POWSZECHNEJ

ZESZYT 3
WYSZEDŁ Z DRUKU

CENA ZESZYTU KOPIJEK 50, Z PRZESYŁKĄ
KOPIJEK 60, CAŁOŚĆ DWA DUŻE TOMY
RS. 5, Z PRZESYŁKĄ RS. 6.

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA.

Wydawcy Gebethner i Wolff.

Warszawa. Druk Emila Skińskiego.

Redaktor dr. Józef Wolff.